

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

9

— Yvetto — rzekłem — wiesz równie dobrze, jak ja wiem, że popełniłaś zbrodnię prawdziwą. Opowiedz mi wszystko, co wiesz o zazdrości Deschamps względem twojej pani; wyznaj wszystko szczerze, a przekonam się, czy będę mógł zrobić coś dla ciebie.

.Zacisnęła wąskie wargi.

— Nie! — odpowiedziała ostro i urywanie — Co zrobiłam, to zrobiłam, a odpowiadać będę tylko sędziemu śledczemu.

— Namyśl się, radzę ci.

— Ani myślę. To pułapka, którą mi pan zastawia.

— No dobrze.

Poszedłem ku drzwiom i otworzyłem je na rozcież...

— Idź, jesteś wolna.

— Wolno mi odejść?

— Tak sobie życzy twoja pani.

— Pani mnie nie chce posłać do więzienia?

Przez chwilę wydawała się zdziwioną, wreszcie przemówiła znowu:

— Ach, to tylko złośliwe żarty, a żandarmi stoją pewnie na schodach.

Wzruszyłem ramionami, ona zaś w końcu spokojnie wysunęła się z pokoju. Słyszałem, jak zbiega po schodach. Zaraz jednak, ku mojemu zdziwieniu, kroki jej zawróciły z powrotem i Yvetta powróciwszy do pokoju, zamknęła drzwi za sobą.

— Widzę, że nie jest to żaden żart złośliwy — zaczęła, plecami od drzwi oparta. Mademoiselle Roza, to szlachetna pani i ja to zawsze wiedziałam; ona jest prawdziwa artystka; ona ma duszę — ale i ja także. Czegoby pan nie mógł wymóżyć na mnie siłą, ani pan, ani nikt inny, to ja panu powiem dobro wolnie. Chce pan coś wiedzieć o Deschamps?

Skinąłem głową, podziwiając ją w duszy.

— To kobieta, której się można bać. Mówiłam panu, że służyłam u niej, zanim przyjechała służbę u Mademoiselle Roza, i zawsze się jej bałam. Ale ja ją lubiłam. Rozumiałyśmy się, Deschamps i ja. Mademoiselle wyobraża sobie, że Deschamps stała się o nią zazdrosną z powodu pewnego zajścia w *Opéra Comique* przed kilkoma laty — zwyczajnie nieporozumienie między artystkami, jakich napa-trzyłam się dosyć. To była tylko częściowa przyczyna, ale w tem wszystkim było coś więcej. Deschamps myślała, że lord Clarenceux kochał się w niej — w niej! A naprawdę, to on się w niej nie kochał; ale ona tak myślała, a gdy lord Clarenceux zaczął zabiegać o względy mademoiselle, wtedy to dopiero naprawdę wybuchnęła zazdrość Deschamps. Ach! ja słyszałam, jak Deschamps zaprzysięgała się, że... Ale mniejsza o to... Ona tego nigdy mademoiselle nie darowała, że zaręczyła się z lordem Clarenceux. Gdy umarł, ona się śmiała; ale jej nienawiść do mademoiselle nie wygasła... przyćmiła się tylko, ale żarzyła się w głębi. I ja to rozumiem — lord Clarenceux taki był przystojny i taki bogaty, taki piękny i taki surowy, wielki pan... Miał zwyczaj dawać mi stufrankówki...

— Dlaczego zazdrość Deschamps ożyła teraz tak nagle?

— Dlaczego? Bo mademoiselle postanowiła teraz wrócić do *Opéra Comique*. Deschamps tego ścierpieć nie mogła. A gdy posłyszała, że się to ma stać, napisała do mnie — do mnie! i zapytała, czy to prawda, że mademoiselle ma wystąpić w *Car-men*. A potem przyszła zobaczyć się ze mną — ze mną! — i musiałam jej powiedzieć, że to jest prawdziwa i wtedy strasznie się rozgniewała, a potem zaczęła płakać — och! jak rozpacziała! Powiedziała, że ma na to sposób, by pani przeszkodzić śpiewać i prosiła mnie, bym jej pomogła. I ja jej to obie-dam.

— Zgodziłaś się zdradzić swoją panią?

— Deschamps mi przysięgała, że to pani napraw-dę nie zaszkodzi. A czy ja panu nie powiedziałam, że lubiłyśmy się z Deschamps? Jesteśmy stare znajome. Żal mi jej było. Starzeje się...

— Ileż ci obiecała zapłacić?

— Ani grosza... ani centima. Przysięgam!

Dziewczyna tupnęła nogą i podniosła głowę, za-rumieniona szczerem przejęciem, broniąc się przed tym zarzutem.

— Co zrobiłam, to zrobiłam z serca; a przy-tem wierzyłam, że to mojej pani nie zaszkodzi. Prawdę mówię!

— A jednak twoja pani mogła to życiem przy-płacić.

— Niestety!

— Powiedz mi jeszcze: teraz, gdy ten zamach się nie udał, co robi Deschamps? Czy da pokój, czy obmyśli coś innego?

Yvetta z wolna potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Ona jest niebezpieczną. Czasami bywa jak szalona... Trzeba się strzedz. Co do mnie, to już ja jej nigdy nie zobaczę.

— Dajesz mi słowo na to?

— Już powiedziałam. Więcej nic panu nie mam do powiedzenia. Więc żegnam pana. Niech pan po-wie pani, że swego postępuku żałuję.

Otworzyła drzwi, a czyniąc to, spoczęła okiem przypadkiem na małym obrazku, wiszącym obok ko-minka. Obrócony plecami do ognia, nie poszedłem za jej wzrokiem.

— Ach! — szepnęła z westchnieniem — to był taki piękny, surowy pan... i dawał stufrankówki!

Poszła. Już nigdy więcej nie słyszeliśmy o Yve-cie. Z ciekawości odwróciłem się, by popatrzeć na obrazek, na który ona spojrzała. Była to mała fo-tografia, w czarnej oprawie, wisząca osobno na ścia-nie; w zwykłych warunkach można było łatwo jej nie spostrzedz. Przysunąłem się bliżej. Nagle serce mi zabiło i czoło pot mi zrosił. Fotografia przed-stawiała człowieka, który od chwili, gdy poznaliśmy Rozę, szedł trop w trop za moim śladem — tę ta-jemniczą i groźną osobę, którą najpierw widziałem naprzeciw hotelu Alreski, potem w katedrze w Bru-ges, podczas gdy mój czuwał przy zwłokach, dalej w pociągu przed rozbiciem i nareszcie na parowcu, który omal nie zatonął w Kanale. Dołem, w po-przek fotografii, biegł podpis, wielkim, prostolini-jnem pismem nakreślony: *Clarenceux*.

A więc lord Clarenceux żyje, choć wszyscy my-ślał, że umarł... Oto więcej niepokojąca tajemnica, aniżeli wszystkie inne...

Rozdział XIV.

Uważałem za swoją powinność powiedzieć Ro-zie, moje domysły bo do tego jakimi powodami rządził się, znikając w ten sposób i wprowadzając w błąd przyjaciół swych i świat cały. Wiedziałem jednakże, że takie rzeczy już się zdarzały, a także słyszałem o tem, że to był człowiek, któryby się nie zawa-hał przed jakąkolwiek dziwną zachcianką, gdyby mu ona dogadzać miała. I rozjaśniło mi się jeszcze je-dno: Alreska musiał wiedzieć, że lord Clarenceux żyje. Na tem musiała polegać część jego tajemnicy, ale część tylko. Przeczuję, że tuż, tuż przede-mną leży jakieś tragiczne odkrycie, mające żywotnie dotknąć nie tylko losu mojego własnego, ale także losów osób drugich.

Odwiędziłem Rozę nazajutrz rano po mojej prze-prawie z Yvetta. Była zdrowa zupełnie, wcale do-brze usposobiona i zaprosiła mnie na wieczór, na obiad. „Powiem jej po obiedzie“ pomyślałem sobie, gdyż coraz trudniej było mi mówić z nią o tem. Powiedziała mi, że telefonicznie umówiła się z tea-trem o nową próbę o godzinie trzeciej, tym razem jednak nie proponowała mi, bym jej towarzyszył. Spędziłem zatem popołudnie w Sorbonie, gdzie mia-łem kilku znajomych, a następnie, wstąpiwszy do hotelu i przebrawszy się, pojechałem fiakrem na u-licę Rivoli. Rozważyłem dobrze, jak poprowadzę rozmowę na temat lorda Clarenceux i ułożyłem so-bie cały planik. To pewna, że bez przyjemności myślałem o tej rozmowie; ale, jak powiedziałem, czułem, że to mój obowiązek uwiadomić ją, że śmierć jej narzeczonego jest prostym zmyśleniem. Osobiste moje zamiary musiałyby temsamem upaść — nie miałem prawa liczyć na nic innego — ale gdy-by mi się miały powieść, a gdybym ja zamilczał o tej sprawie, uważałbym... że odegrałem rolę czło-wieka „o czterech literach“...

— Pani nie ma w domu — oświadczył mi słu-żący.

— Nie ma w domu? Ależ mój przyjacielu, ja jestem zaproszony na obiad.

— Panią nagle zawezwano, zostawiła tu list dla pana. Czy pan byłby łaskaw do salonu?

List brzmiał, jak następuje:

„Drogi przyjacielu!

Przepraszam stokrotnie. Załączona kartka wyłomczy wszystko. Czułam, że muszę tam jechać i to zaraz... Mogłaby umrzeć, zanim przybędę. Czy będzie pan łaskaw zajrzeć ju-tro rano?

Wdzięczna

Rosa.

W tej samej kopercie była kartka, pisana po francusku:

Villa des Hortensias
Rue Thiers, Pantin, Paris.

Panno Roza!

Umieram. Bardzo panią skrzywdziłam i bo-ję się umrzeć bez przebaczenia pani. Niech mi pani da dowód wielkoduszności swojej, niech pani przybędzie do mego śmiertelnego łóża i powie mi, że przyjmuje żal mój i moją skru-chę. Poślaniec panią zaprowadzi.

Karlotta Deschamps.

— O której godzinie pani wyjechała? — zapy-tałem.

— Jeszcze niema kwadransa — brzmiała odpo-wiedź.

— Kto ten list przyniósł.

— Jakiś człowiek, proszę pana. Pani pojechała z nim dorożką.

Z pośpiechem, który musiał zadziwić stateczne-go sługę, wybiegłem z domu i wskoczyłem do fiakra. Kazałem się dorożkarzowi jak najprędzej zawieść do hotelu. Dla mnie list Deschamps był w najwyż-szym stopniu podejrzany. Roza naturalnie, w pro-stocie serca niezdołnego do żadnej podłości, przyję-ła go w dobrej wierze. Ale ja pamiętałem z powa-gą wypowiedziane słowa Yvetty: „Ona jest niebez-pieczna. Trzeba jej się strzedz“. A przytem za-uważyłem natychmiast, że pismo na tej kopercie zadziwiająco pewnem i regularnem było, jak na u-mierającą kobietę i że cały układ listu był jak gdy-by obmyślany na efekt. Bałem się podstępny. Domy-ślałem się, że Deschamps to jedna z tych kobiet, które idąc za wodzą namiętnego porywu, gotowe dojść do ostateczności, odkładając zastanowienie na później — gdy już rzecz nieodwołalną się stanie. Znałem wypadkiem trochę odległe przedmieście, gdzie stała willa „des Hortensias“. Wiedziałem, że nocą nie było bezpiecznie i podejrywałem, że Rozę zacią-gnięto tam w złych zamiarach.

Przybywszy do hotelu, wydobyłem z kuferka rewolwer i włożyłem go do kieszeni. Mogło się nie stać, ale przezorność nakazywała się przygoto-tować na wszystko. Z tą myślą zabrałem też i mały, klejnotami wysadzany styliczek, który Roza dała sir Cyrylowi Smart na owem historycznem przyjęciu u mego kuzyna Sullivana. W sieni hotelu spojrze-łem na plan Paryża. Przedmieście Pantin leżało bar-dzo daleko, już poza obrębem fortyfikacji. Zapyta-łem portyera, czy dorożka zawiezie mnie do Pantin. Odpowiedział, że mam wsiąść do tramwaju parowego, wychodzącego z pod gmachu opery, dojechać nim aż do samego końca, a wysiadłszy, poszukać dorożki, albo też pieszo dobieć do celu. Kazałem się zatem zawieść do tramwaju, wsiadłem na wierzch i ruszy-liśmy przy dźwięku hałaśliwej trąbki.

Kilometry i kilometry gazem oświetlonej jedno-stajnej przestrzeni przebywałem w ten sposób. Po obu stronach ulic mijaliśmy gęsto rozsiane restau-racje i kawiarnie — zrazu obszerne, wysokie i bo-gato dekorowane, o wielkich szklanych fasadach, obsługiwane przez kelnerów we frakach, potem sto-pniowo coraz mniejsze i mniej ruchliwe. Kelnerzy we frakach ustępowali miejsca obsłudze w robotni-czych bluzach, potem kobietom i dziewczętom — niskim, tłustym kobietom i dziewczętom, które szczerbiotały ze sobą i z klientami. Nareszcie tram-waj zatrzymał się na końcowej stacji, przebywszy prawie milę. Nigdzie nie było ani śladu dorożki.

Zacząłem iść pieszo. Sklepiki były coraz mniej-sze i coraz uboższe. Nareszcie przeszedłem przez kanał i znalazłem się w okropnej dzielnicy la Vil-lette; tu ulica rozszerzyła się znacznie i pusta, ci-cha, ciągnęła się w świetle gazu. Przechodziłem pod mostami kolejowymi, mijając kolejowe place, po-sępne w niebieskiej mgle elektrycznych świateł. Nareszcie minąłem baryerę miejską i rogatkę a je-szcze przedemną ciągnęła się ulica, ciemniejsza te-ż, uboższa, nędzniejsza. Byłem w Pantin.

Nareszcie dojrzałem białoczerwony szyld ulicy Thiersa. Stałem samotny w cieniu wysokich, nie zachęcającego pozorów domów. Wszystko było jakieś obce, jakieś straszne. To nie był Paryż, który opi-suje Zola. Zakręciłem na ulicę Thiersa i tu od razu przerwały się szeregi wysokich domów, a zaczęły się małe, odosobnione wille. Willa „des Hortensias“ stała prawie na końcu ulicy. Była może większa od innych, trzypiętrowa, z małym ogródkiem z przodu i sztachetami. Bramka w sztachetach była otwar-ta. Wszedłem.

Na froncie domu nie było wświetla w żadnym o-oknie. Cztery kamienne schodki prowadziły do drzwi. Wszedłem po schodkach i właśnie chciałem zapa-kać, gdy myśl mi przyszła: A nuż Deschamps jest